Lwów, 5. Kwietnia. Nr 40. Rok 1855.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztowa rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycimy mód kwartal. 1 Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział. ce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr.. za następ. po 1 1/2 kr. i za do. płatę 10 kr. stępl. za każdorazwe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

WIENIEC CIERNIOWY.

PROLOG

POWRÓT DO OJCZYZNY.

(Ciąg dalszy.)

Noc była coraz ciemniejsza, czarne chmury zawisły na niebie, wiatr się zrywał, krople nawet grube padać zaczęły; wszystko zwiastowało zbliżenie się burzy. W taki czas iść dalej było niepodobieństwem prawie dla zmęczonego już i tak podróżnego; a nawet przy nocy tak ciemnej w obcem zupełnie już miejscu, nie byłby zapewne trafił do zapowiedzianej karczmy. Pominąwszy to wszystko byłby może pielgrzym próbował jeszcze, ażali nie znajdzie drogi i schronienia, gdyby nie to jakieś dziwne uczucie, które jak pierwej ciągnęło go w tę stronę, tak teraz nie pozwalało mu się ztąd oddalić. Biedny pielgrzym, już sam niewiedział co ma myśleć o tem uczuciu, jest li to głos Boga, albo może pokusa złego ducha?. W tej chwili łysnęło przeraźliwie i pielgrzym ujrzał szopkę otwartą, która stała o kilka kroków od owego dworu. Mimowolnie zwróciły się ku niej kroki jego, i uciekając przed wzmagającą się burzą, w kilka chwil później znalazł się najwygodniej rozciągniętym na miękkiej słomie. Oczy mu się kleiły od snu, a przecież zasnąć nie mógł; niespokój jakiś opanował go; co chwila to się zdrzymał, to się nagle budził.

Burza na dworze trwała okropna, ale nie długo trwało; po godzinie było już cicho i pogodnie na dworze, a księżyc wschodzący oświecał całe obejście, i wpadał jasnym promieniem do szopki w której nasz podróżny spoczywał.

Już lepiej zasypiać zaczął, gdy go przebudził turkot jakiś. Były to dwa czy trzy powozy, które zajechały przed ganek, przybyły próżne od strony miasta, zapewne dla zabrania pakujących się dworu tego mieszkańców. I w rzeczy samej ludzie co powozami przyjechali, zaczęli wynosić rzeczy i pakować, a w chwil kilka ozwały się głosy dające znać, że już wszystko gotowe.

Pielgrzym rozbudzony dobrze widział i słyszał to wszystko, i w wielkim był ambarasie a strachu nawet, aby i jego nie postrzeżono. Żegnając się i modląc, zapytywał trwożliwie własnego sumienia, czy nie grzeszy on tem, że mimo pozwolenia nocuje w obcem miejscu, i teraz jakby szpieg jakiś podsłuchuje i dopatruje, co się dzieje w domu.

W tej chwili ozwały się bliższe już, bo na ganku mówiące głosy kobiety i mężczyzny, które nasz pielgrzym poznał od razu. Dziecka nie było słychać. Głos kobiecy był jeszcze miększy i słodszy, był w nim nawet wyraz bolesny, płaczliwy prawie.

— Może by przecie było lepiej wziąć teraz... ozwał się głos kobiecy.

— Nie! wierzaj mi, że będzie lepiej gdy się rozdzielimy — spuść się na mnie zupełnie.

— Żeby tylko bez przypadku! on cierpiący!.. przemówiła znowu kobieta, i zamilkła, a w głosie jej był już płacz wyraźny.

— Nie bądź dzieckiem! odrzekł mężczyzna, głosem niby żartobliwym, ale ostrym zawsze.

Nowy ozwał się turkot, powozy odjechały. Snać tylko jeden pozostał mężczyzna, który jak widział pielgrzym z szopki, stał długo jeszcze na ganku. Twarzy jego dopatrzeć nie mógł, ale się domyślał, że patrzy za odjeżdżającemi. Wszedł później do dworu, lecz przy ciszy nocnej długo jeszcze słyszał podróżny kroki chodzącego po pokoju. Zmęczony wreszcie usnął, ale snem zawsze niespokojnym, przerywanym. Zdawało mu się ciągle, że nie może zasypiać mocno, że czujność jego jest potrzebną. Przed świtem wreszcie, skoro tylko pierwszy brzask zorzy zajaśniał, podróżny był już na nogach, już nawet modlitwy poranne klęcząco zmówił.

I właśnie chciał wychodzić z szopki, gdy go zatrzymał szelest jakiś, tuż prawie usłyszany. Zatrzymał się więc chwilę i ujrzał jak mężczyzna w płaszczu owinięty z zasuniętą na głowę czapką prowadził z poza szopki, od innego snać budynku, konia okulbaczonego. Konia postawił przy ganku, a sam wbiegł do środka. Pielgrzymowi uderzyło serce gwałtownie w piersi, jak by się czegoś bał, lub spodziewał jakiego nadzwyczajnego zdarzenia. A przecież w ruchach mężczyzny, odjeżdżającego z domu, nic tak nie było nadzwyczajnego!. Było to przeczucie czy natchnienie Boże!.

Po krótkiej chwili, wyszedł znowu mężczyzna z domu, alé tym razem trzymał coś w ręku, a szedł nadzwyczaj powoli i ostrożnie. Gdy przechodził po przed samą bramą szopki, pielgrzym rzucił okiem na niego, i z niepospolitym

zadziwieniem ujrzał, że tym przez mężczyznę w płaszcz owiniętego dźwiganym przedmiotem, było małe może trzyletnie dziecko, spokojnie spiące. Pielgrzym spojrzał za nim mimowolnie, i widział jak wszedł do drugiej czy szopy czy stajni, słomą także pokrytej, której drzwi były przymknięte. Wszedł do środka, a gdy wyszedł i drzwi zamknął za sobą, już dziecka nie miał na ręku.

Zadziwienie pielgrzyma rosło co raz więcej, i zaczynało pomału przechodzić w rodzaj przerażenia. Wszystkie ruchy mężczyzny wydawały mu się podejrzane, przeczucie złowrogie ozwało mu się w myśli. Ten wczorajszy wyjazd w nocy, ostatnie słowa kobiety odjeżdżającej, ranna męszczyzny wyprawa, dziecko zaniesione do szopy, wszystko razem budziło w głowie pielgrzyma jakieś czarne domysły.

I niestety, domysły nie były fałszywe! Dokonywała się w oczach podróżnego zbrodnia okropna, tajemnicza.

Stanął we drzwiach otwartych, i nie kryjąc się już więcej, osłupiałym i przerażonym wzrokiem patrzał, jak ów mężczyzna którego twarzy zmrokiem rannym i czapką osłonięty dostrzedz nie mógł, dobył z pod płaszcza krzesiwo i zaczął ogień krzesać. Zatliła się hubka, i już miał w ręku przygotowany zapewne pęk słomy. Ogień buchnął z niego, rozpalona słoma ręką mężczyzny rzucona padła w środek stajenki, drugi i trzeci pęk słomy zapalił tym samym sposobem, i przytykał w słomianną strzechę, pod którą złożył przed chwilą spiące dziecko.

Przerażenie pielgrzyma na widok podpalającego męszczyzny było tak wielkie, że mu odjęło mowę zupełnie. Chciał krzyknąć, a niemógł ani słowa dobyć, chciał wybiedz ze szopy, a nogą nie mógł ruszyć.

Mężczyzna tymczasem płaszczem owinięty, spojrzał raz jeszcze po za siebie, a widząc jak się już strzecha słomianna zajęła, odwrócił się szybkim ruchem, i zbliżył do stojącego przy ganku konia.

— Pójdzie na karb wałęsających się kozaków! mruknął do siebie; i już siedział na koniu.

Pielgrzym jeszcze nie mógł zwalczyć przerażenia swego, ale widząc męszczyznę już na koniu, spojrzał ku niebu, westchnął niemą modlitwą, i jakby cudem jakim odzyskał mowę i ruchy. Szybkim krokiem wybiegł z szopy, i zbliżył się do męszczyzny, chcąc konia zatrzymać.

— Bezbożny! zawołał do niego. Co czynisz!? Bóg patrzy na ciebie.

Na głos ten niespodziewany wzdrygnął się mężczyzna na koniu, i pałającym od wściekłości wzrokiem, rzucił na pielgrzyma.

— To wczorajszy włóczęga! zgrzytnął zębami! Nie będziesz świadczył przeklęty szpiegu! dodał chrapliwym głosem.

I szybkim ręki ruchem, dobył pistoletu z olstrów, i strzelił do biednego pielgrzyma o trzy ledwie kroki oddalonego. Jęknął trafiony kulą, i upadł we krwi zbroczony. Snać ten wystrzał obudził dziecko śpiące, bo ze środka stajenki, która już jasnym gorzała płomieniem, ozwał się przeraźliwy krzyk dziecinny.

Mężczyzna spiął konia, i szalonym pogonił pędem. Za nim zeszło słońce, całe to obejście wraz z dworem, spłonęło do szczętu.

Rozdział I.

NAD BRZEGIEM WILII.

Urocze brzegi Wilii, tylekroć opisane prozą i wierszem znane już są nam doskonale, i słusznie sławione. Odznaczają się wielką rozmaitością widoków, i powabem cichych i sielskich prawdziwie piękności, żywo przemawiających do serc czuć zdolnych. Piękniejszem jeszcze od drugich, było to ustronie, do którego prowadzimy teraz czytelników naszych. Chociaż niezbyt oddalone od jednej z głównych dróg, prowadzących do Wilna, wydawało się tak samotnem, jakby za światem było. Cichość uroczysta tej ustroni stanowiła główną jej piękność. Krajobraz nie był obszerny, nie przerażający dzikością swoich widoków, ale miał w sobie ten urok domowy, zaciszny, jaki nieraz w Litwie zdybać można, urok niewzbudzający tyle podziwu ile przywiązujący serca. Powab tego krajobrazu, porównać by można do twarzy niewieściej nie uderzającej szczególną bijącą w oczy pięknością regularnych rysów, ale zachwycającej słodyczą wyrazu, który będąc odbiciem serca, serce porusza.

Na samem właśnie zagięciu tej wężykowato płynącej rzeczki wznosiło się kilka pagórków wyższych, które nagle wyskakiwały z płaskich więcej brzegów, najcudniejszą gajów młodszych i starszych borów zarosłych zielonością. Dwa z nich najwyższe pagórki podobne do siebie, wznosiły się po obu brzegach Wilii. Czy z jednego czy z drugiego widok rozciągał się na pasmo kilku wznoszących się pagórków, pomiędzy któremi błyskały tu i owdzie czyste wody, krętym pędem biegnącej rzeczki. Pomiędzy pagórkami temi zbiegały ku rzece lekko ku niej pochylone parowy, prawdziwie łąki kwiatami zasłane, prawdziwe kobierce całem bogactwem barw tkane. Gdzieniegdzie z parowu skromny wypływał strumyczek, i z cichym szmerem wpadał do Wilii. A gdzie okiem zajrzeć, wszędzie zielono, wszędzie najczystsza rozmaitość drzew mniejszych i większych, rozrzuconych jakby naumyślnie w cudownie pięknym nieładzie.

Do piękności tego cichego krajobrazu, najwięcej przykładały się, oba te pagórki. Na jednym bowiem z nich z pomiędzy drzew wznosił się skromny kościółek wiejski, niewielki, ale czysty i schludny, który wraz z pomieszkaniem doń należącem, z krzyżem jednym na wieży, a drugim na dzwonnicy, dodawał do samotności tego ustronia, uroczystą jakąś powagę. Na przeciwległym pagórku otoczo-

nym w około cudnie piękną łączką, sterczał ułam jakiejś przedpotowej skały, uwieńczony krzyżem, który z tej wyniosłości swojej zdawał się ramiona swe wyciągać ku podwładnej sobie okolicy, by ją niemi pobłogosławić. O skałę oparta była mała kapliczka z wiecznie w niej gorejącą lampą, której światło w wieczór pogodny, jakby gwiazda czerwieniawa, odbijała się w falach Wilii. Dwie ścieżki prowadziły do tej kaplicy, na obu stały krzyże i kapliczki, które przedstawiały stacye wiodące do Kalwaryi. Oba brzegi Wilii łączył maleńki prom z przypartą o brzeg chatkę, mieszkaniem starego przewoźnika. Od kościółka aż do samego brzegu ciągnął się ogródek na pół dziki na pół kwiatami zasadzony, który ostatniemi konarami starych płaczących wierzb przeglądał się i kąpał w przejrzystych Wilii wodach. Po drugiej stronie kościółka i klasztoru od strony lądu ciągnął się sad klasztorny, w którego końcu chruścianym płotem otoczona z pośród drzew i kwiatów wyglądała skromna pasieka. A dalej trochę, wąskim parowem, leciał z góry strumień mruczący i złapany sztucznie na łotok poruszał jedno koło młynka wiecznie furczące.

Do piękności cichej tego krajobrazu, dodajmy wonny i spokojny wieczór letni, dodajmy promienie zachodzącego słońca jak się łamią po falach Wilii lekkim wiatrem poruszonych, jak się odbijają i łyszczą na krzyżu kościelnym, jak się zbiegają gdyby krople brylantowe po spadającej na koło młyńskie wodzie, a będziemy mieli wyobrażenie o całym uroku tej okolicy w chwili gdy pierwszą tej powieści scenę wprowadzić zamyślamy.

Jakby naumyślnie dla ożywienia krajobrazu, dwie na nim widzimy ludzkie postacie. Nie daleko od brzegu na małej łódce siedzi trzynastoletni chłopak, i od czasu do czasu porusza wiosłem o tyle tylko, by się czółno lekkim po wodzie kołysało ruchem.

Na samym zaś brzegu pod jedną z najstarszych wierzb na darniowej ławce siedzi zakonnik. Staruszek to już siwy jak gołąb, przez wiek zgarbiony nieco, oparty na grubej i prostej lasce z gruszy. Lewa ręka jego opiera się na kiju, a w prawej trzyma różaniec i palcami machinalnie prawie przerzuca paciorki. Na twarzy jego wyraz dziwnie piękny, budzący cześć i przywiązanie, wyraz nadzwyczaj sympatyczny. Jest w nim bowiem i dobroć serca i spokój czystego sumienia, i jakieś zadumanie pobożne, zadumanie to starca, który stojąc już nad grobem, marzy o tej tak dlań nie dalekiej, a tak tajemniczej przyszłości.

Od czasu do czasu spogląda na młodego chłopca spojrzeniem tak słodkiem i przywiązanem, że się w nim odbijać zdaje ta najświętsza i najsilniejsza troskliwość matki.

Chłopiec w czółnie cudownej jest urody. Twarz jego pociągła nieco, usta małe, oczy ciemno błękitne z długiemi rzęsami, jasne włosy, długie i wijące się naturalnie, przy cerze białej i zdrowej, ale do bladości więcej skłonnej, stanowią całość pełną harmonii. Lecz jeszcze więcej wdzięku twarzy tej dodaje cały oczów i twarzy wyraz, starszy nad wiek, pojętny i marzący razem. A marzenia te, którym i w tej chwili zdaje się być oddanym, muszą być cudnej treści, bo i o czemże takie dziecko marzyć może, jeżeli nie o jasnych aniołkach, których zdaje się śledzić po obłokach na niebie, po falach na rzece. (C. d. n.)

PÓJDZ NA MORZE!

Jasna nocka, pójdź na morze,
Biedną chatkę rzuć,
Tu na falach miękkie łoże,
Gwiazdy świecą, pójdź na morze,
Pójdź na morze, pójdź!

— Miło marzyć tu na morzu,
Miło śnić i czuć,
Lecz tam w chatce, na rozdrożu,
Płacze matka, my na morzu,
Wróć do matki, wróć!.

Próżno wołasz, tu świat inny,
Wiatrom skargę rzuć,
Ztąd daleko kraj rodzinny,
Samaś jedna a świat inny,
Pójdź na morze, pójdź!.

J. C. Z.

PAMIĘTNIKI LEKARZA POLAKA.

przez

Dr. J. TRIPPLINA.

(Ciąg dalszy).

Szkieletu karlicy inne zupełnie dzieje. Za życia zwała się ona Lidja Chiarini, ubogich rodziców córka. Choć karle miała ciało, dusza w niej była wielka i szlachetna, pojętność szczególna, a serce najlepsze. W szesnastym roku była już panną dorosłą, i miała półtora łokcia. Bogobojna i poczciwa utrzymywała rodziców dawaniem lekcyi języka włoskiego Anglikom, od których nauczyła się po angielsku. Spiewała przy tem choć cicho, ale nadzwyczaj harmonijnie, i grała do tego na harfie, umyślnie dla niej sporządzonej. Trzeba nieszczęścia żeby się szalenie zakochała w młodym malarzu polskim, p. Karolu W. Szalała za nim, kazała się razy kilka malować, uczyła się od niego po polsku, nareszcie nie mogąc dłużej wytrzymać, wyznała mu miłość, zaklinając go by się z nią żenił.

— Nie dadzą nam ślubu! odpowiedział przestraszony malarz.

— Dla czego? pytała go biedna karlica.

— Bo się temu kanoniczne prawa sprzeciwiają. Spytaj się spowiednika swego.

To rzekłszy, wymknął się, i nie długo myśląc, uciekł do Rzymu.

Od tej chwili biedna dziewczyna straciła zdrowie, schła widocznie i nikła w oczach. Ze znajomą rodziną angielską pojechała do Anglii, i udała się do doktora Huntera.

Zadziwił się Hunter widząc to małe stworzenie z spojrzeniem tak miłem i pojętnem.

— Jestem chorą, i przeczuwam śmierć! rzekla do niego. Pan zbierasz osobliwości; przychodzę się sprzedać panu, aby coś jeszcze zostawić ubogiej rodzinie mojej.

Rozczulił się lekarz, i zatrzymał ją u siebie: a miał o niej staranie, jakby o własnej córce. Odtąd żyła przy nim, i napisala nawet dzieło po angielsku pod tytułem: dusza ludzka w ciele karła. Doktor Hunter polubił ją nadzwyczaj. To małe stworzenie nawróciło uczonego człowieka do wiary w nieśmiertelność pamięci, rozumu, ducha i duszy; ona udzieliła mu więcej szczęścia, jak mu mogła udzielić ta ogromna wiedza tajemnic natury, które sobie moralną pracą zdobył, które geniuszem swym odgadł.

Stoi teraz jej szkielet z złożonemi do modlitwy rękoma obok olbrzyma, bo tak sobie sama za życia życzyła. A kto zna historyją ich życia, ten już wiedzieć będzie, kto z nich był istotnie karłem a kto olbrzymem?

Autor pamiętników bawiąc w Anglii dosyć długo popoznawał wielu znakomitych lekarzy, i oczywiście wielu ciarlatanów, co mu daje sposobność przytoczenia kilku o nich rysów charakterystycznych.

Pomiędzy innemi był tam doktor Castello, dobry lekarz i poczciwy bardzo człowiek, cudzoziemiec, bo szwajcar podobno, osiedlił się w Londynie i polubił naszego ziomka.

Doktor Kastello był na czele jednego zakładu, zwanego *Foreign Dispensary*, w którym chorym cudzoziemcom dają bezpłatnie radę i lekarstwa. Takich zakładów, które po większej części powstały staraniem i nakładem prywatnych osób, jest 12 w Londynie, rozrzuconych po różnych dzielnicach miasta. Owóż w tym zakładzie miał on pomocnika, który zwał się Johann. Był to niemiec, rodzaj niby chirurga, niemający najmniejszego wyobrażenia o medycynie, ale jak zwykle tacy ludzie, miał wielką do tego pretensyę, i nieraz bez wiedzy swego pryncypała pozwolił sobie leczyć chorych na własną rękę. Niewiedzieć dla czego, przyjechawszy do Londynu udawał Polaka i przezwał się Johański. Dobrze mu się działo, bo majtkowie przychodzący nieraz do tego zakładu, przenosili Johańskiego nad samego doktora Castello. Umiał on z niemi i gadać i wykłócić się i w razie potrzeby wyszturkać; a na ich najwięcej z przepicia pochodzące choroby, umiał radzić doskonałe. Oni też mu za to przynosili różne dary, to w pieniądzach, to w rybach i innych przedmiotach, które Johański zpieniężał i pomału zbijał grosz do kupy.

Temu tedy Johańskiemu trafiło się zdarzenie tragiczne i komiczne razem. — Razu jednego chodził sobie po sali zakładowej, i odpoczywając po rannych zatrudnieniach spożywał śniadanie zastawione. Okna sali przez które wyglądał czasem, wychodziły na Tamizę; i właśnie postrzegł jakąś łódkę, która podpływała pod same okno sali zakładowej. Był to jakiś rybak z wioski, leżącej poza Greenwich, który zażądał od niego, by jechał z nim do bogatego sołtysa rybackiego, jakiegoś Samivel, który nagle zsiniał, dostał kurczów i stracił wszelką przytomność.

— Dobrze ci zapłacimy mówił do pseudodoktora, i to z góry. O tu masz cztery suwereny (170 złp.)

— Dyrektora zakładu nie było, rybacy naglili, złote suwereny nęciły; dosyć że pan Johański dał się namówić, i ruszył z rybakami do Grenwich. Po drodze dowiedział się od nich że ten Samivel niekoniecznie lubiony, bo burda, pijak; pierwszą nawet żonę wyprowadził na targ i przedał. Cała jego była zaleta, że się sławnie boxuje.

Przybywają; chory leży zimny i siny; oczy na wierzchu już szklanne; ręce i nogi drgają; pulsu już nieczuć prawie.

— Dla Boga! Cholera morbus! krzyknął pan doktor, który słyszał że cholera, wałęsająca się po Europie, sporadycznie lubiła wyrwać tu i owdzie jakiego pijaka, lub innego nieporządne życie prowadzącego człowieka.

Wszystkich strach ogarnął.

Pan doktor korzystając z tego radzi wszystkim, aby kupili u niego po buteleczce Eliksiru fugo-chrusto-cholero-morbusowego, który ma u siebie, a buteleczka kosztuje tylko trzy szelingi. Rybaki i rybaczki, chłopi i chłopki, a było ich tam pełno, uciekają od chorego, a przekonani swadą doktora, rozbiegają się po pieniądze na Elixir.

— No a teraz odsyłajcie mnie co prędzej, bo tu już niema co robić! patrzcie już przestał oddychać. Możecie przy tej sposobności kupić dla niego trumnę w Londynie, i zabierzecie mój Elixir.

Żona i dzieci w płacz. Odważny lekarz sam zamknął zmarłemu oczy, i gdy poznosili pieniądze za Elixir, zabiera je, siada nazad do łodzi, rad niepospolicie z zarobku dnia tego. Na pożegnanie powiedział jeszcze odwożącym po kilka słów o znikomości rzeczy ludzkich. Rybacy popijając gin, płaczą rzewnie, chociaż nie wiele dobrego o nieboszczyku mówią.

W pięć dni później, znowu p. Johański spożywał śniadanie, i chodził po sali, i znowu podpłynęła łódka, a na niej poznał tych samych rybaków, którzy go do sołtysa wozili.

— Pewnie wołają mnie znowu do chorego, mówił do siebie zacierając ręce. I jakiś prezent wiozą dla mnie, dodał spostrzegłszy na czółnie jakąś skrzynkę, żaglem osłoniętą.

Wchodzą znajomi rybacy, ale między niemi jest jeszcze inny mężczyzna, ogromny, z rubaszną i zapuchniętą twa-

rzą pijacką. Rysy tej twarzy zdają mu się być znajome. Strach jakiś ogarnął szarlatana.

— Widzę że mnie poznajesz? zawołał rubaszny jegomość z groźnym wyrazem.

— Nie! nie poznaję... nie znam! odrzekł Johański blady jak ściana.

— Ja jestem ten sam którego kazałeś pochować bratku, jak nieboszczyka. A na dowód, pátrzaj! ot tu jest ten surdut drewniany, w który mie kazałeś jak najprędzej ubierać.

I rybacy odsłonili przyniesioną paczkę. Była to trumna z napisem zmartwychwstałego rybaka.

— A jeżeli nie wierzysz że ja żywy, mam jeszcze jeden dowód! krzyknął przeraźliwie rybak i kułakiem urznął biednego chirurga, raz w twarz, a drugi raz w piersi.

Johański był podobny do trupa.

— Milczysz teraz ty zabójco! krzyknął rybak dalej. I wsadzili mnie do trumny, i byliby żywcem pochowali, gdyby się nie rozsunęli krzesła na których postawiono trumnę. Upadłem z nią na ziemię; krew mi się puściła gębą i nosem. Zostałem wyratowany. Rozumiesz nieuku, który nieumiesz rozróżnić appopleksii od cholery. Czy słyszysz? Tyś mnie chciał żywego pochować. Teraz wet za wet. Ksiądz już zapłacony, koszta pogrzebowe, grób i wszystko pokryte. Marsz do trumny; będziesz miał pogrzeb daremny. Prawda bracia!

— Prawda! krzyknęli wszyscy.

I bez dalszych słów porwali nieszczęśliwego, który z przestrachu ani gadać ani bronić się nie mógł, wpakowali do trumny, i już wieko zaczęli przybijać, gdy nagle pojawił się doktor Castello, a za nim konstable.

— W imieniu prawa i królowej! przemówili konstablowie.

Wszyscy odstąpili od trumny, a Johański jednym susem z niej wyskoczył.

Lecz rybacy nie chcieli żadnym sposobem odstąpić, chcąc go koniecznie żywcem zakopać, utrzymując że mają do tego wszelkie prawo, prawo odwetu.

Doktor Castello burczał ich, robił przedstawienia, aż nareszcie gdy gdy dotknął przypadkiem w mowie swojej kosztów pogrzebu, stanęło na tem że pan chirurg musiał zwracać te koszta. Zrobili mu zaraz rachunek, który wynosił, dołączywszy honorarium wzięte przez niego, trzydzieści jeden funtów szterlingów.

Aż skoczył Johański ze strachu i żalu.

— Zwei hundert siebzehn Thaler! krzyknął z rozpaczą.

Lecz kusa była rada; zebrał co miał w kuferku i wyliczył zmartwychwstałemu rybakowi do ręki. Za to oddano mu trumnę i suknie świąteczne rybaka, których już nie chciał odbierać, bo w nich odgrywał rolę nieboszczyka.

— Masz ty sumienie? jęczał biedny Johann. Ty bogaty odbierasz mi mój grosz ostatni.

— Ty nic nie jesteś wart! odrzekł mu rybak. Gdybyś ty był co uczciwego, to jak ci dałem w twarz, byłbyś mi oddał.

— A niechże cię Donerwetter trzaśnie! krzyknął Johański, tem mi dopiero dojadłeś. I tej chwili rzucił się niemiec na Anglika, z niezwyczajną wściekłością, i dał mu tak silnie w twarz, aż mu się głowa zachwiała. Niemiec widocznie wpadł w szał niezwykły, któren się u nich zazywa *Berserker Wuth*, to jest wściekłość odyńca.

Anglik oberwawszy po twarzy ozwał się tylko najspokojniej:

— A very good blose! (bardzo dobra pięść.)

I zdiąwszy spencer i szelki zaczął się gotować do boksowania.

Wyzwanie na boksy to w angielskim narodzie święty obowiązek. Nie było rady; przystąpili więc oba szermierze do siebie.

Anglik był mocniejszy i wprawniejszy, a niemiec za to zwinniejszy i zgrabniejszy. Walka też trwała długo dosyć. Oba już niemało dostali kułaków potężnych, lecz oba się trzymają. Sposób boksowania się niemca zaczął się podobać przytomnym anglikom.

— Splendid! Splendid! Doctor! powtarzają z zadowoleniem.

Nareszcie Johański zebrawszy wszystkie siły, skoczył w bok, i udając się do szermierskiego fortelu, zanim się Anglik ku niemu odwrócił, urznął mu na odlew pięścią w lewe skronie. (D. n.)

Teatr.

Na dochód p. Kalicińskiego odegrana 5 aktowa komedya P o n s a r d a: *Honor i pieniądze* nieodpowiedziała zupełnie oczekiwaniom, jakie wzbudzało nazwisko autora, i ta sława, że za nią p. Ponsard uzyskał medal. Nagrodę tę dano mu zapewne za napisanie komedyi moralnej, co jest niepospolitą nowością we Francyi, gdzie niegrzeszą zupełnie tendencyami moralnemi. Gdyby dosyć było pierwszą lepszą prawdę ubrać w dyalogi, monologi, i podzielić na akta i sceny, nic by łatwiejszego nie było, jak napisać komedyą; w takim razie do udałych dzieł dramatycznych możnaby porachować, owe utwory dramatyczne p. G e n l i s, z których każdy ma swój sens moralny, bardzo piękny, ale dramatyczności ani za grosz. To samo prawie da się powiedzieć o tej komedyi Ponsarda, w której wszystkie główne osoby działające, prawią jakby e x c a t e d r a nieznośnie długie tyrady; inne znowu rozpowiadają w poparcie tych prawd, to co się już stało; jednem słowem, niema w całej komedyi żadnej akcyi za pomocą by której myśl autora

wywijała się wśród walk i przeciwności życia, jasna i wyraźna. Wszędzie są same przekłapane maxymy moralne, martwo i sentencyonalnie opowiadane, które jakkolwiek mogą być słuszne i piękne, słuchacza zostawiają zimnym, jeżeli go nie znudzą, i w błogą nie w prowadzą drzemkę.

Sama główna myśl ani jest nowa, ani uchwycona z jakiego stanowiska, uderzającego czy nowością swoją, czy przeprowadzeniem szczegółów, mających ją podnieść i wyświecić. Stara to dziś i do znudzenia obrobiona prawda że honor czy cnota w częstej znajdują się kollizyi z pieniędzmi. i najczęścej w tej walce z niemi uledz muszą. Przeprowadzenie tej myśli idzie bardzo po prostu, nader klasycznie, bo p. Ponsard, autor Lukrecyi nie darował by sobie, gdyby choć cokolwiek zaczepił o romantyzm.

W pierwszym akcie występuje pan Jerzy, syn bogatego kupca; daje obiad czy śniadanie, a że bankiet suty, ma mnóstwo gości, którzy za drogie jadło i droższy napój sypią mu podchlebstwami. Jeden chwali kucharza, drugi gust jego, trzeci widoczny talent malarski, a człowiek stanu widzi w nim nawet wyższe zdolności dyplomatyczne. Na to wchodzi inny jego przyjaciel, p. Rudolf, zimny dosyć moralista krytykujący wszystko, rodzaj tego co francuzi nazywają f r o n d e u r, który śmieje się z tych pochwał Jerzemu dawanych, i dowodzi, że plonna jego wiara w poczciwość ludzką, a nawet we własne swoje siły, które przy pierwszej lepszej walce uledz muszą. Scena to długa nieskończenie, z której uważny słuchacz czy czytelnik naprzód już zrozumieć może, cały zimny układ tego utworu dramatycznego. Jest-to jakby długa przedmowa, w której autor sam mówiąc o dziele własnem, rozwija cały dzieła tego wątek. W akcie drugim poznajemy p. M e r c i e r z dwoma córkami: Lucyą i Laurą. Laura jest bierna. Lucya jest niby czynna, obydwie na zimno, bo w długim dyalogu, z którego dowiadujemy się, że Laura bez mruknienia wszystko zrobi co ojciec każe, Lucya także zrobi, ale pokłóciwszy się. Jerzy bywa u nich; wszyscy go lubią w domu; ojciec jako bogacza, Lucya ceni go, a Laura kocha. Tymczasem nadchodzi jedna scena. niby najżywsza w całej komedyi, w której występują wierzyciele p. Jerzego i p. Jerzy. Ojciec jego umarł, ale przez nieszczęścia i bankructwa, zostawił wielkie długi. Jerzy mając znaczny majątek osobisty po matce, nieprzymuszony do tego, przyjmuje długi ojcowskie, by oczyścić pamięć ojca. Wierzyciele podziwiają ten piękny czyn, extazują się nad nim, przyrzekają złote góry, niemniej przeto przyjmują i zabierają cały majątek p. Jerzego. Pan Jerzy pozostaje goły, i oczywiście p. Mercier nie chce wydać córki za niego; panna Lucya trochę się oponuje, o tyle tylko, aby wypowiedzieć kilka sensów moralnych; panna Laura przystaje nawet iść po rozkazie ojca za p. Richard, dziedzica podło zarobionych bogactw, człowieka bez cnoty i obyczajów. Jerzy przekonuje się teraz, że jego pierwej chwalone talenta nic mu dziś nadać nie mogą; bo rozum i sztuka jego malarska nie dają się w zimnym świecie zemienić na potrzebną do życia zdawkową monetę.

Udaje się do owych wierzycieli, którzy podziwiali w nim cnotę rzymską, prosząc o pożyczkę na założenie papierni podobno. Oczywiście pod różnemi pozorami wszyscy odmawiają; szkoda długiej sceny do przeprowadzenia tej tak już bardzo zużytej prawdy. Jest to sprężyna dramatyczna przez częste onej nadużycie tak miękko chodząca. że żadnego nie robi wrażenia. Kapitalista tylko jeden proponuje mu, żeby się żenił ze starą panną posażną, która także należała do jego dawnych wierzycielek. Powiada mu w tym względzie wszystko to co już nagadali od wieków wszystkie entreprenery podobnych małżeństw. Jerzy odpowiada wszystkie te piękne morały, jakie w podobnym mówią się stosunku, ale zmęczony golizną waha się przecie. Nadchodzi na to moralista Rudolf; rznie mu parę kartek reprymendy, rad z tego że jego przepowiednia o słabych siłach w walce zjiszcza się widocznie. Schodzi się Jerzy z obydwoma siostrami. Laura jest nieszczęśliwa z mężem który wszystko stracił; p. Mercier rozpacza, że zięcia szalone przedsiewzięcia i utraciuszostwo zakompromitowało majątek drugiej córki, która będąc bez posagu. teraz niemniej piękne gada rzeczy, a zawsze ceni Jerzego, tem dla niej więcej powabów mającego, że wszystko dla cnoty stracił. Oboje nic nie mają teraz, ale bogaci w zasób maxym, trochę za wdaniem się Rudolfa, trochę za pomocą notaryusza, który daje Jerzemu kapitał na założenie papierni, zbliżają się ku sobie, obopólnym wiedzeni szacunkiem. P. Mercier doświadczeniem nauczony, niemający zresztą lepszego wyboru dla córki, wydaje Lucyą za Jerzego. Sens tedy moralny jest taki: że aby cnota Jerzego została wynagrodzoną, a po części wyratowaną od pokusy, występującej w postaci bogatej panny starej. trzeba było, aby równie cnotliwa panna Lucya straciła majątek, iżby go mogła wynagrodzić ręką swoją. Zaiste to mały rezultat komedyi arcymoralnej. Komedyę tę przetłumaczył p. Szymanowski. Tłumaczenie to jest wierne, i można to tylko o niem powiedzieć, że mamy gorsze daleko. Są w nim ustępy w cale nie złe, ale w wielu miejscach staje się ono dla nas ledwie zrozumiałem przez to, że tłumacz nie umiał układu myśli francuskiego autora zastosować do ducha języka polskiego. O grze aktorów naszych w tej komedyi nic nie powiemy. Żgromadzona publicznośc była bardzo nie liczna, a zimna, jak zimne morały tej sztuki, jak zimnem i monotonnem było oddanie onej.

Teatr Krakowski.

Repertoar teatralny, dzieła sceniczne rękopismienne i drukwane.

(Patrz Nr. 155 i 156. Nowin 1854 r.)

Będzie temu okładem lat czterdzieści, jak zajęto się w Warszawie po raz pierwszy na seryo, próbowaniem wszel-

kich sposobów, mogących scenę polską podźwignąć na odpowiedni stopień wykształcenia i stworzyć prawdziwe piśmiennictwo sceniczne.

Dyrekcja teatralna której usposobieniem i duszą był Niemcewicz, zapraszała i zachęcała młodych pracowników do osnowania komedyi i tragedyi na obyczaju narodowym opartych. Jednakowoż zabiegi wszelkie okazały się bezskutecznemi, niwa jałowa nie przyjmowała zasiewu, i nie dopuszczała roślinie wystrzelić w kwiat okazały, lub obfitym poszczycić się owocem.

«Niedostatek sztuk narodowych (pisze *Niemcewicz* w roku 1811.) oryginalnych, zdawnienie poprzednio pisanych, sprawiają: iż tylko tłumaczeniem obcych Teatrum polskie od upadku swego broni się. Gdy się zasłona podejmie rzadko widz polski znajduje się u siebie, rzadko patrzy na własnych bohaterów czyny, na własnych ziomków cnoty, obyczaje, śmieszności i wady, zawsze scena jest w cudzych krajach, we Francyi, w Niemczech, we Włoszech, Indyach, w Kamczatce nawet, słowem wszędzie, prócz w Polsce. I ztąd to brak zapału wystawienia świetnych w narodzie naszym czynów, karcenia dawnych przywar, wydoskonalenia języka (w tłumaczeniach przymuszanego i spętanego zawsze), odbierają scenie naszej tę korzyść, którąby inaczej mieć mogła. Naprożno dyrekcya przy otwarciu swojem, wzywała młode nasze dowcipy, by się pisaniem sztuk dramatycznych zajęły. Szczęśliwi w udziale Melpomeny, małą tylko liczbę niedojrzały chplonów, acz chęci najlepszych, odebraliśmy.«

Ten niedostatek, ten nieurodzaj spowodowały Niemcewicza, że chcąc dać dobry przykład, stał się z konieczności a nie z powołania, pisarzem komedyi, a to już wówczas, gdy wiek podeszły, ziębił zapał jego i rzeźkość młodzieńczą.

Dziś po latach czterdziestu, jakaż zaszła przemiana na obszarach tej niwy! Owczas gdy na niej sztucznie i przymusowo szczepione roślinki, kiełkowały zaledwie, dziś spostrzegamy tu i owdzie i strojne listki, i kwiaty woniejące i owoc dojrzewający, a choć i te jawią się nie tak licznie i nie tak świetnie, jak gdzieindziej, jednak znamionują ogromny przeskok od niedawno zamierzchłej przeszłości.

Fredro, Korzeniowski, Gorczyński, Majeranowski, Kamiński, Skarbek, Bogusławski syn, Jasiński, Anczyc, Ładnowski i inni, stwarzają zawiązek prawdziwej literatury dramatycznej polskiej, a ogół prac ich oryginalnych, obfitych, bo dochodzący cyfry sztuk dwustu, wystarczyć mógłby na zapełnienie repertoaru teatralnego przez lat kilka, z możnością wyłączenia wszelkich przekładów i przerabiań prac obcych, z możnością niepowtarzania sztuki wielokrotnie, Dopuszczając do współobywatelstwa i dzieła przekładane przeistaczane, naśladowane z innych języków, możnaby między niemi czynić wybór najsurowszy, i zaopatrywać repertoar w same nowości, w same utwory znakomitsze, słynniejsze a pomijać miernoty i wesołki wartości miejscowej, okolicznościowej, efemerycznej; — albowiem przekładców i dzieł przekładanych jest aż nazbyt w dziedzinie naszego dramatu.

Zdawałoby się, że po takiej zmianie na korzyść dramatu w Polsce, musiały podnieść się i repertoary teatralne odpowiednio; wszelako tak nie jest. — Nie mówię już o repertoarze teatru Warszawskiego, bo ten zeszedł niżej wszelkiej krytyki, mimo, iż scena tamtejsza, ma tak zasłużonych przewodników, jak Jan Królikowski i Jan Jasiński; ale mówię o teatrze Krakowskim i Lwowskim.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* Koncert niedzielny, na wsparcie funduszu szkolnego gminy ewangelickiej dany, zgromadził bardzo liczną publiczność. Słyszeliśmy dwie młode panienki, spiewające; głos ich pełny i wdzięczny, metody dobre, osobliwie pierwszej, ztąd niezawodnie do wysokiego rozwinie się stopnia. Trzecia panienka popisywała się w grze na fortepianie w nocturnie Schulhofa i melodii Gutmanna. Gra wprawna, przezwyciężająca wszystkie trudności, tylko dla zmieszania się w obec tak licznych słuchaczów trochę nieśmiała. Jedna z pań słyszeć się dała na fisharmonice. Hymn i dwie pieśni bez słów dobrane były do natury tego instrumentu, czyniącego w podobnych utworach tak głębokie wrażenie.

Z mężczyzn występujących najpierw podnieśćby trzeba grę pana Goebelta na wiolonczeli, i fantazyę na skrzypcach p. Kozłowskiego, których talent zawsze uznanie powszechne znajduje. Przyczyniły się do uprzyjemnienia wieczoru i śpiewy męskie, tak solo barytonowe jak i w chórze wykonane.

Fortepiana, na których grano przy koncercie, wyżyczył uprzejmie ze swego składu pan Balko. Pierwszy był z fabryki Streichera, drugi Bösendorfera, który to ostatni szczególnie dźwiękiem się odznaczał.

* Dowiadujemy się, iż na korzyść instytutu wychowania ubogich dziewcząt zamyślają kierujące tym zakładem Panie dać po Wielkiej nocy teatr amatorski. Pan Glöggl ustępuje jednego wieczoru. Wraz z amatorami mają wystąpić i artyści należący dawniej do składu sceny polskiej, a piękny komplet z nich samych dobrać by można, albowiem z całego dawnego składu teatru polskiego, pozostawiono przy scenie tylko jednego p. Smochowskiego.

* Do dzisiejszego Numeru dołączone są trzy ryciny, dwie mód, a trzecia rycina przedstawiająca wzory czypeczków, kołnierzyków, półkoszulków i rękawków. Oprócz tego przyłączony jest arkusz krojów modnych sukni. — Ryciny te należą do przedpłaty kwartału pierwszego.

Znaczenie poprzednich Szarad:

1. Kapary. 2. Wyraz. 3. Kawalek. 4. Gozdziki.

Szarady.

1. We Włoszech przebywa pierwsza i druga,
Gdzie knieje i lasy, pierwsza i trzecia,
A całość, wygoda gospodarzom luba,
Widać ją wszędzie, szczególnie u kmiecia.

2. Pierwsze i drugie, jest dziełem płomyka;
Drugie i trzecie, część ciała człowieka,
Całość zaś bywa podporą starości,
Albo przyczyną łamania kości.

2. Być mą pierwszą razem z drugą,
Żyć niewarto — bo nie długo.
Być znów drugą razem z czwartą,
Lepiej umrzeć— żyć niewarto. —
Gdy zaś trzecia z czwartą w parze
Znów o śmierci każdy gwarze,
A gdy wszystkie wraz postawisz,
Życia pierwszych dwoch pozbawisz.

Przyjechali od dnia 3. do 5. Kwietniaa do Lwowa.

PP. Stojowski Eugeniusz, z Jaszczewa Wysoczański Alexander, z Jakimowa. Mierzyński Rafał, z Baryłowa. Pászkudzki Ignacy, z Żędowic. Pilchowski Józef, z Przemyśla. Pilchowski Piotr, z Krakowa. Laskowski Maksymilian, z Lipnik. Kalinowski Władysław z Bakowiec

PP. Brenner Antoni, z Grodowca. Noskiewicz Augustyn, z Ostrowa. Sobolewski Eligiusz, z Przeworska. Dombski Gustaw, z Tarnopola. Okornicki Feliks, z Rozdołu. Wolański Jan, ze Srok. Arciszewski Albin, z Wolicy.

Wyjechali od dnia 3. do 5 Kwietnia ze Lwowa:

PP. Nowosielski Ludwik do Zbory. Czermiński do Medias Smarzewski Fraciszek do Tarnopola. Gumowski Wiktor do Bereżnik. Terlecki Sylwester do Żółkwi.

PP. Barzykowski Michał do Laszek. Bocheński Romuald do Jezierzan. Remer Erazm do Husiatyna. Skarzyński do Budzanowa. Padlewski Romuald do Uherec Szczepański Józef do Dalnicz. Jabłonowski Józef do Rawy. Gostyński Stanisław do Żółkwi. Wysoczański do Jakimowa

Kurs telegrafowany z Wiednia 4. b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr. .	$125\frac{1}{8}$	Pożyczka 5% $82\frac{3}{8}$ $4\frac{1}{2}$	$71\frac{15}{16}$
Hamburg za 100 tal. banco	$91\frac{1}{2}$	Akcye banku	1002
Londyn za 1 funt szterl.,	12 12	Kolej północna	—
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	$74\frac{1}{2}$
Paryż za 300 franków .	146	Nowa pożyczka z loteryą	$104\frac{9}{16}$
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa . .	$87\frac{5}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	46	złr.	5	kr.	49
Dukat cesarski	«	5	»	51	»	5	«	49
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	4	»	10	«	8
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	57	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	52	»	1	«	53
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	»	1	«	24	»	1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	94	«	40	»	94	«	50
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		74	»	10	»	74	»	30
5 proc. pożyczka narodowa		86	»	—	»	87	«	—

Lwów, 4 Kwietnia. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 35 złr. — kr. do 38 złr. 45 kr. — Żyta po 26 złr. — kr. do 27 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do —złr.— kr. Owsa po 14 złr. — kr. do 15 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 22 złr. 10 kr.— Ziemniaków po 13 złr.— do 14 złr.— kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do — złr. — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. 8 kr. do 5 złr. 45 kr. Centnar słomy 3 złr. 8 kr. do 3 złr. 20 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**